

Adam Wiaryga-Minieski.

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

22

Nie przypuszczał, że w młodem, snać niezupełnie jeszcze stwardniałem sercu, zadrgała struna litości i współczucia...

Józia wczepiła się wzrokiem w śniade lica żydówki... Intuicyjnie wyczuła, że ta dziewczyna przeziera jej mękę i chce jej dopomóc.

Reginka z miłym, przyjaznym uśmiechem, który dziwnie rozjaśnił tę ładną twarz o ostrych, wyrazistych, charakterystycznych rysach — podsunęła Józii krzesło...

— Niech pani siada... Nogi boją od stania...

— Dziękuję...

Reginka zwróciła się teraz całą postacią ku ojcu i żywo gestykulując, zaczęła mu coś szeptem przedkładać...

Gelbfisz kręcił głową, głaskał brodę, cmokał wargami i był widocznie niezadowolony...

Ale Reginka nie ustępowała. Szeptala i szeptala dopóty, dopóki ojciec nie powiedział do Józii:

— Nu ja pani dam tak, jak dla rodzone siostry... Pani dostanie trzydziestczy korony...

Józia spojrzała z wdzięcznością na Reginkę... Zrozumiała, że to jej wyłącznie interwencji zawdzięcza to niespodziewane podwyższenie pożyczki.

Gelbfiszówna, zadowolona i dumna ze swego wpływu na ojca, uśmiechnęła się, ukazując z za pełnych, czerwonych warg dwa rzędy zdrowych, równych, nieczyszczonych zębów.

— A na jak długo potrzebuje pani zasta-  
wić? — pytał dalej Gelbfisz.

— Na jak długo... — bąknęła młoda kobieta —  
Bo ja wiem...

— Na trzy miesiące — poddała Reginka.

— Niech będzie na trzy miesiące...

— Niech będzie... I pani mnie podpisze kwit, co pani za trzy miesiące odda czterdziestczy pięć korony... To jest bardzo mały procent... Pięć koron na miesiąc... To tyle, co nic...

— Dobrze. Podpiszę — odparła Józia, która nie miała pojęcia o tem, co to znaczą lichwiarskre procenty.

Zadowolona była, że dostanie trzydzieści koron do ręki, a nie zastanawiała się wcale nad tem, kiedy i za jakie pieniądze broszkę wykupi.

Reginka znowu zaczęła szwargotać coś szybko w żargonie, ale Gelbfisz tym razem potrząsnął przecząco głową i usunął córkę na bok niecierpliwym gestem:

— Gaj! Biste meszuce, Reginkie?!

Józia, podpisawszy kwit, włożyła za rękawiczkę trzy zmiełe dziesięciokoronowe banknoty i wybiegła z mieszkania Gelbfisza, jakby ją kto gonił.

Reginka pospieszyła za nią, aby jej wskazać wyjście przez podwórze...

Józia podniosła na dziewczynę swoje niebieskie oczy i szepnęła:

— Dziękuję pani bardzo...

Reginka nic nie odpowiedziała, ale widać było po niej, że jest wzruszona.

Kiedy córka wróciła do mieszkania, Gelbfisz gniewnie trochę zawołał:

— Co się tobie stało, Reginka?!. Dlaczego ty mnie wydarłaś piętnaście koron z kieszeni?... I jeszcze chciałaś, żeby ja od niej wziął mały procent?!. Czy tobie się nie przekręciło w głowie?!. To jest synowa bogatej Żarnickiej...

— No, ja sobie tak myślałam — odpowiedziała jakoś melancholijnie dziewczyna — że jak synowa bogatej Żarnickiej przychodzi zasta-  
wić u nas swoją broszkę, to ona musi być bardzo biedna...

— A co cię to potrzebuje obchodzić, czy ona biedna... Jakby ja myślał, kto biedny, to ja bym był żebrak, nędzarz... Ja nie wiem, co tobie za głupstwa przychodzą do głowy!... Czy ona cię oczarowała?!

Reginka zatopiła rękę we włosach i zamyśliła się:

— Ja nie wiem, tate, ale mnie jej żal...

— — — — —

Józia zastała w domu list od męża.

Oczy jej pojaśniały radością.

Nareszcie!...

Już dziesięć dni nie miała żadnej wiadomości i zaczynało ją to niepokoić trochę.

Drżącymi ze wzruszenia i niecierpliwości rękami rozerwała kopertę i czytała:

„Józiu...”

Coś ją zmroziło w sercu. Dlaczego taki chłodny tytuł?... Zwykle Konrad pisywał „Józik, mój złoty...” albo „Najdroższa Józienko...”

Młodą kobietę targnęło niedobre przecucie. Gorączkowo czytała dalej:

„Myślałem, że można ci zaufać i wierzyłem, że mnie kochasz prawdziwie... Niestety, dowiaduję się, że się myliłem...”

Józia uczuła, że jej ślina w gardle wysycha i puls w skroniach zaczyna uderzać jak młotem.

Co to znaczy?!... Za co? Dlaczego?!

„Doprawdy, nie spodziewałem się tego po Tobie, abyś mi w ten sposób miała umilać moje i tak obecnie ciężkie życie...”

Litery skaczą Józii przed oczyma, ręce jej dygoczą, jak w febrze.

„Ładnych dowiaduję się rzeczy! Nie tylko, że hardością swoją i uporem zatruwasz życie mojej matce i ciągle wywołujesz nieporozumienia (a tak Cię prosiłem, abyś się hamowała, abyś starała się zjednać ją dla siebie).

— Boże mój!... Przecież ja chciałam!... Ale

czy podobna!... On nie wie, co ona...

„...ale i w całym mieście budzisz sensację lekkomyślnem, kokieterijnem zachowaniem.

Napomykano mi jeszcze o czemś gorszem, ale temu już wolę nie wierzyć, bo, gdybym uwierzył, to...”

— Na miłość Boską, o co chodzi?! Co ja złego zrobiłam?! Dlaczego Konrad tak do mnie pisze?! Ten jeden spacer... ależ on o tem przecież jeszcze wiedzieć nie może... A ja już nigdy... nigdy...

„Jeżeli nie powstrzymuje Cię uczucie, jakie, sądziłem, że masz dla mnie, to zechciejże pamiętać przynajmniej o tem, że jesteś moją żoną i nosisz moje nazwisko...”

Dalej Józia już czytać nie może, bo łzy przesłaniają jej oczy. Z drżących rąk papier wypada i osuwa się na ziemię.

W Józii niema gniewu, ale jest żal bezmierny.

Oklamali Konrada, to jasne!... Napisali mu o niej jakichś niesłychanych rzeczy... A on uwierzył...

Ale dlaczego uwierzył?!... Nie powinien był uwierzyć!...

Czemu nie zapytał się wprzód: „Józia, powiedz, jak było?...” Ale wydawał wyrok odrazu!... Tak nielitościwie, ostro pisał: „Nie spodziewałem się tego po Tobie!...”

Czego!... O! Boże!... Boże!...

Żal rośnie i poczucie krzywdy potęguje się. Józia rozgorączkowana, zaciskając konwulsyjnie ręce, że aż paznokcie wpijają się w jej skórę, chodzi po swoim pokoju.

Kto ją oczernił przed Konradem?!

Naturalnie, że matka! Któżby inny?!. Ta zła, niegodziwa, bezlitosna kobieta!

Ja wiem, do czego ona dąży!... Chce mnie rozłączyć z Konradem!... Ale ja będę się broniła!... Wyzywa mnie do walki!... Dobrze!... Będziemy walczyły!... Konrad chce, żebym się starała zjednać ją dla siebie... Gdyby on wiedział, co to za gorzka ironia!...

Młoda kobieta schyliła się nagle po porzucony list. Przeczytała go do końca, a potem blada bardzo, ale z podniesioną hardo głową, poszła wzrost do teściowej.

Pani Żarnicka porządkowała coś w kredensie w jadalni.

Z salonu dochodziły głosy Loli i Władka Koszczyca.

Na widok synowej pani Żarnicka zmarszczyła czoło.

— Czego chcesz?...

— Chciałam mamę zapytać...

— O co?... Ale w każdym razie mów trochę ciszej. Nie krzycz, bo nie jesteś w karczmie, tylko w przyzwoitym domu.

Józia przygryzła wargi.

— Co mama pisała Konradowi o mnie?...

— Proszę!... Cóż to znowu za pytanie!...

Mam ci może zdawać sprawę z moich czynności?... Może zechcesz kontrolować moją korespondencję...

— Mama dobrze wie, że mi to ani w głowie... Tylko rzecz mnie teraz zanadto blisko dotyka... Konrad robi mi bardzo ostre, a niesprawiedliwe wymówki...

— Niesprawiedliwe?... istotnie?... — uśmiechnęła się ironicznie świekra...

— Nie poczuwam się do żadnej takiej strasznej winy, żeby aż...

— Jakaś ty szczęśliwa, że masz tyle pobłażania dla samej siebie... Doprawdy, nie poczuwasz się do niczego?... — pani Żarnicka patrzyła synowej bystro, a szyderczo w oczy.

Józii przypomniał się znowu ten spacer z Łuniewskim. Spuściła głowę...

— Mogę nieraz pobłdzić, ale nie chcę zrobić nic złego — powiedziała cicho — a dla Konrada...

— Moja ty, nie deklamuj przedemną! Nie jestem łatwowiernym, wrażliwym młodzieńcem, więc mi głowy nie zawrócisz...

Oczy Józii błysnęły stalowo.

— Nie mam zamiaru ani mamie ani komukolwiek głowę zawracać, chociaż mnie tutaj o to ustawicznie posadzają...

— Czyż być może?!. Czy tylko się nie mylisz?... — śmiała się nieprzyjemnie pani Żarnicka, jakby rozmyślnie drażniąc młodą kobietę. Józia jednak panowała nad sobą.

— Pragnę się tylko dowiedzieć, o co mnie mama właściwie oskarżyła przed Konradem...

Płomienie gniewu rozpałyły się w oczach pani Żarnickiej i byłoby napewno przyszło do wybuchu, gdyby w tej chwili nie ozwał się bardzo blisko głos Koszczyca:

— No, zobaczy pani... Spytały się mamy i pewien jestem, że po mojej stronie stanie...

Pani Żarnicka w jednej chwili powściągnęła się. Cicho i szybko powiedziała:

— Mogłabym ci nie odpowiadać wcale, zważywszy twoją bezczelną hardość... Powiem ci jednak, jeżeli chcesz koniecznie wiedzieć... Konrad dostał z Łykowa jakiś list bezimienny, który go dokładnie informuje o twojem ze wszechmiar godnem zachowaniu się...

Była to prawda. Jakaś złośliwa dusza przyszła w pomoc pani Żarnickiej.

Konrad razem z listem matki, bardziej ogólnikowym i tajemniczym, otrzymał zjadliwy anonim.

Ten wypadkowy zbieg okoliczności musiał Konrada wyprowadzić z równowagi.

To, o czem matka napomykała w sposób ostrożny, było wypowiedziane w bezimiennej epistole w jaskrawych słowach.

— List?... List bezimienny?... — wykrztusiła Józia.

— Tak jest. Widocznie zdołałaś wzbudzić szczerze zainteresowanie. A teraz idź stąd. Chyba, że pragniesz próbować swoich wdzięków na panu Koszczyku...

Jeszcze nie skończyła pani Żarnicka, a już Józii w pokoju nie było.

Młoda mężatka porwała kapelusze, wsunęła list męża do torebki i poszła do Larchówny.

— — — — —

— No i czemu się pani tak przejmujesz? — wzruszyła ramionami Larchówna. — List bezimienny?... Wielkie rzeczy... Pani! Wiele ja listów bezimiennych dostałam w mojem życiu...

— Tak, ale...

— Nie ma żadnego ale. Tchórz podły, kto anonimy pisze, a dureń, kto sobie co z nich robi...

Józia zaczerwieniła się, bo to kateryczne zdanie było jednocześnie wyrażeniem wielce niepochiebnej opinii o Konradzie.

— Kto to jednak mógł pisać?...

— Pewnie jakaś zawiedziona kandydatka do ręki albo serca męża pani. Mnie pani przecież nie posadza?... — dorzuciła po chwili, ściągając swoje sobolowe brwi.

— Ależ, panno Tereso!...

— No, chyba że nie... Ja, gdyby mi chodziło o to, to byłabym prędzej zdolną wydrapać oczy, lub coś w tym guście zrobić... Ale list bezimienny... pfe!... — splunęła z obrzydzeniem.

— Wie pani, co ja myślałam... — zaczęła wahając Józia, oglądając gorliwie pokrycie sofki.

— No?...

— Ale ja to do pani mówię pod największym sekretem...

— Jak mi pani nie ufa, to niech pani lepiej nie mówi.

— Kiedy ufam i powiem... Ja myślałam, że ten anonim to pisała może ona sama... moja świekra...

Larchówna zastanowiła się chwilę i przecząco potrząsnęła głową.

— Nie! Ona na to za mądra i za ostrożna!... Własną ręką pisać przecież nie mogła, a nie powierzyłaby tego nikomu... O! to mądra baba, tego jej odjąć nie można!... Kufa na cztery nogi...